

**K**AŻDY MIŁOŚNIK I ZBIERACZ przedmiotów sztuki ludowej wie, iż najtrudniej odkryć czy też nabyć drzeworyty ludowe; są niebywałą, prawie absolutną rzadkością. Wiadomo: były, istniały, niema ich; zniknęły. Oczywiście: prawie nigdy nie zabezpieczone szkłem, nieoprawiane zazwyczaj, gwoździem w żywy papier do ściany zawilgoczonej przybite, w zadymionej izbie bytujące, będące zarazem dzięki swej białe-czarnej atrakcji ulubionym miejscem wypoczynku dla much — a od zarania swego odbite na lichym papierze podłą, żrącą farbą, ba nawet mazią — niszczały rychło, butwiały, rozsypywały się po kilku lub kilkunastu latach; dbała o porządek gospodyni zmiatała strzępiaste próchno pod polepę. Tak kończyły swój niedługi i niechwałebny żywot.

Tu i ówdzie — lecz, także bardzo rzadko — odkrywano przez zbieraczy w lamusach, na strychach, w sąsiekach, w dzwonnicach i piwnicach klocki, też zresztą katastrofalnie podbutwiały i przez robaki naprzestrzał stoczone — przy delikatnej manipulacji i przezorności biegłej dawały jakie-takie odbitki — jedyne, w ścisłym tego słowa znaczeniu dokumenty grafiki chłopskiej.

Dlatego teka drzeworytów Jędrzeja Wowra jest zjawiskiem wyjątkowym i cennym.

Jaka jest historia tych klocków, drzeworytów, »piecątek« Wowrowych — ? — Bardzo prosta. Opowiadał mi przed laty ten arcyświątkarz beskidzki, że w młodości nosił na targi, jarmarki i odpusty — do Kalwarii, Ludźmierza, Częstochowy, do Suchy, Andrychowa, Kęt, Wadowic, Skawiny — powsinoga, wiadomo — w kobiałce ptaszki fantastycznie barwne, a tak żywe, że z tej kobiałki ulatujące, a pod pachą w gazecie owinięte »piecátky« (tak właśnie zwał drzeworyty — i już się ta nazwa na określenie drzeworytów chłopskich przyjęła); figurek na targi, jarmarki i odpusty nie taszczył, bo i to ciężkie i kilka »szóstek« kosztować musi — drzewo, farba, — to kosztuje! a na dobitek stragany już się wtedy zaroili gipsowemi posążkami białych Matekbockich z niebieską szarfą; konkurencja. Ale ptaszki i piecátky jeszcze »szły«. Potem się i to urwało — na ptaszki zaczęto mówić, że nieprawdzwie opierzone i wogóle ordynarne — a piecátky poszły w cień, bo znów te okropne, duże, lśniące, wyglancowane oleodruki, a to serce panjezusowe, a to serce siedmiu mieczami przebite, a to statek na wzburzonych flukach morskich niczem niezabezpieczony tylko tą

wiarą, która go, wizerunek zbłąkanej duszy ludzkiej, do przystani szczęśliwej doprowadzi. Czemże wobec takich cudności ubogie piecátky świątkarza-dziadygi? No to się i urwało; interes marny.

Zaciekawiony i zelektryzowany tą opowieścią — zapytałem Jędrzeja, czyby i teraz potrafił piecátky wykonać? — Owszem powłada mi, czemu nie. I na dowód, że i »owszem« i »czemu nie« — przyniósł po kilku dniach cztery klocki; było to trzydziestego stycznia 1925 r.; cóż, kiedy z tych klocków (»Łabędź«, »Anioł«, »Monstrancja«, »Serce«) — wypaczonych i nierównych żadną miarą nie dało się zrobić odbitek jako-tako znośnych. Postanowiłem przeto kupić poprostu deseczki drzeworytowe, zwyczajne, gruszkowe, na wysokość czcionki; przyrządów, dłutek etc. — nie chciał Wowro. I na nich to (bardzo mu się te klocki spodobaly, że takie gładziusienkie i równiotkie) swoim kozikiem, sławnym, szmałami owiniętym, »gnypem« wyciął osiem piecątek i dziewięć okładkową (litery, oczywiście, trzeba mu było narysować). To są te właśnie drzeworyty w niniejszej tece.

Gdy snobizm »świątkowy« zaraził t. zw. szerokie warstwy społeczeństwa, gdy liczni panowie a zwłaszcza pańcie uważały za obowiązek swój zachwycić się »majsterkiem Wawrem« (zawsze to nazwisko przez a wymawiano), posypały się zamówienia (dodatni rezultat snobizmu) na figurki, świeczniki, ptaszki, a także na klocki drzeworytnicze. Wowro robił je niechętnie; twardość desek utrudzała mu spracowane ręce i, poprawdnie, inwencję miał tu w tej robocie »na płasko« niezbyt bogatą. Wymawiał się jak mógł; dość, że na przestrzeni dalszych, do końca już swego żywota, lat, wykonał oprócz wymienionych poprzednio, jeszcze tylko dwa klocki do Krakowa (dotychczas nie udało mi się stwierdzić dla kogo) oraz pięć dla p. Elmy Pratt (director international school of art — New York), w czerwcu 1933 r. Cztery uczennice tej szkoły, śliczne Amerykanki z Buffalo, z New York City i z Dover, które mnie odwiedziły 17-go sierpnia 1933 r. — nie mogły się dość nacydować rzeźbom i drzeworytom Wowry — dotykały je delikatnymi paluszkami z zachwytem i zdziwieniem prawie takim samym z jakim przywitały lampę naftową, którą oświecałem świątkarnię (dzień był pochmurny a globtrefierki przyjechały pod wieczór). Wystawa rzeźb i drzeworytów wowrowych w Ameryce miała »dobrą prasę«; m. i.:

2

»The Buffalo Times« z 29-go grudnia 1933 r. zamieścił szereg reprodukcji prac Wowry z eufuzystyczną wzmianką. Wowro wiadomość o swej sławie iście światowej przyjął z wyniosłym sceptycyzmem — jak o wywiadach i fotografowaniu go licznem, czem go często zdręczano — wyraził się i o amerykańskiej swej karierze: » e co ta z tego, to iño takie figle, a prefitu z tego nima żadnego« — Lecz do rzeczy! — tak więc wykonał Wowro w tym »drugim okresie« swej twórczości dwadzieścia drzeworytów i ani jednego więcej; z tego trzynaście klocków znajduje się w zbiorach gorzeńskich. Stare klocki (owe jarmarczne) nie istnieją; zużyła je żona Wowry na podpałki; sądzą też, że ani jedna z dawnych odbitek nie zachowała się. Tak więc trzeba się kontentować tem co jest.

Wartość drzeworytów Jędrzeja Wowry jest oczywista. Trudny kunszt graficzny opanował — świątkarz — analfabeta — po swojemu, wedle »chłopskiego rozumu« — doskonale. Sztuka jego jest niektamanym i niezamierzonym prymitywem — jest bezpośrednią siostrą tej, którą wykonywał człowiek jaskiniowy z okresu dyluwjalnego. Tematyka jedynie inna. Dyluwjarzy interesował przedewszystkiem tarpan, renifer, tur, — zaś imaginacja wowrowa obraca się tak w rzeźbie jak i w drzeworycie prawie wyłącznie dokoła wyobrażeń mitologii chrześcijańskiej. Wowro daje to co świątkowością urzeka — i to jest jego »głębia«, i to jest jego koleżeństwo bożo-snycerskie z świątkarzami z Rugji, Świętej Zmudzi, Litwy i zapewne też z Biskupina oraz wszelkich uroczysk pięknego pogaństwa — (chrześcijański pogaństwo Wowry jest niewątpliwym: wielobóstwo, antropomorficzna wyobraźnia, realizm życia pozagrobowego, fetyszystyczne właściwości świątków i t. d.).

Najznamienitsze plansze w tece niniejszej to bezsprzecznie »Strącenie do piekła« drzeworyt o świetnej kompozycji, przywodzący na myśl jakoby pobrzmienia bizantyjskie czy cerkiewne (n.b. Wowro nie widział cerkwi i sztuki jej wnętrza nie znał); wrażenie to podkreśla napis fantastycznie jakby glagolicowy; a to stąd, że napis jest »odwrotny« a litery z elementarza fałszywie skopjowane; dosłownie wypisał majster (czytaj od prawej): SIROPCYNE IO PIEKL5; — piekło tutaj to smok, który wraz z ogniem wiecznym pożre Lucyfera zwyciężonego przez Archanioła Michała (Wowro twierdził, że to byli bracia,

którzy dawno mieli z sobą na pieńku; i kto wie coby było, gdyby był Lucyfer zwyciężył; a ten Lucyfer — wszystko wedle Wowry — miał być bardzo mądry i miłosierny, czuły na ludzką nędzę) oraz »Upadek pod krzyżem«, w którym dwa momenty na specjalną zasługują uwagę: 1) Twarz Chrystusa, wymowna, udręczona, pełnatkliwego wyrazu, skomponowana ośmioma kreskami (chciałoby się rzec: przecinkami) — arcyekspresyjny twór, 2) zmyślny (wprost chytrel!) poradzenie sobie z tym problemem, że to Chrystus przecie pod górę się czołga (a Wowro znał stromość góry Kalwarji nie tej palestyńskiej lecz tej zebrzydowskiej), górzystość tę, wrażenie tej górzystości uzyskał Wowro, przez zaznaczenie różnych poziomów budowli: kościół (taki zabawnie szopkowy) umieścił niżej, drzewo nieco wyżej, a jeszcze wyżej dom — co razem z pochyłością dłuższego ramienia krzyża daje znakomitą pewność górzystości a nawet stromości. Poza tem jakież urocze fragmenty na innych planszach! n. p. (na okładce) dwa kosy na drzewach, jaskółka lecąca, ule, pieńek z wbitym weń siekierą, (na »Frasobliwym«) gołąb na krzyżu wieżowym, (na »św. Janie«) wiewiórka, (na »św. Katarzynie«) szpak przed budką na drzewie i w. in.

W pojęciach o sztuce ludowej panuje istny chaos i pomieszanie języków. Opowiada się o niej niestworzone rzeczy, wypłata się duby smalone. — Sztuka ludowa nie jest żadnym arcywzorem twórczości, nie jest też objektem do naśladowania; nie daje też dostatecznych przyczyn do lirycznego rozkiłwiania się, do tysięcznych staropanięskich »ach« i »och« powtarzanych we wszystkich tonacjach. Nie należy też doszukiwać się w niej (a i to się robi!) jakichś przemyślnych, zamierzonych finezji; jest w niej natomiast promieniowanie emocjonalne: — wzrusza nas jak wszystko co prawdziwe i niepodstępne. W tem jest jej wartość największa. — Sztuka ludowa jest remanentem dawno już minionego czasu, najprostszego sposobu wyrażania, (również bardzo prostych i nieskomplikowanych) myśli, uczuć i gestów. — Poza tem jest dokumentem swoistej, ziemiorodnej kultury, nędzą i poniewierką cofniętych, warstw danej społeczności (mówię »społeczności« a nie »narodu«, bo narodowość jest zawsze pojęciem klas uprzywilejowanych). — Jest też sztuka dowodem uzdolnień samorodnych jednostek; ilość ich jest skalą uzdolnień zbiorowych. Mówię: ilość, jakoś bowiem jest siłą faktu

ograniczona możliwościami (treściowymi i formalnymi) wypowiedzenia się; jest więc w istocie dość jednostajna.

Prymitywizmu chłopskiego nie należy zestawiać, jak się to wcale często czynić zwykło, ze sztuką murzyńską czy indyjską. To są diametrycznie różne rzeczy. Sztuka ludowa jest zawarta w problemie zahamowania (zagadnienie samowystarczalności jest tu wątle i mało znaczne: chłop ani kupuje ani się zachwyca »świętkami«); sztuka murzyńska jest najwyższym wyrazem wypowiedzi artystycznego kultu; jest szczytem i schyłkiem niejednokrotnie bardzo wyrafinowanym.

Teka niniejsza ukazuje się jako pierwsze wydawnictwo pośmiertne Jędrzeja Wowry; zmarł ten, bodaj najznamienitszy, świątkarz 21-go listopada 1937 r. (a nie w grudniu, jak mylnie podał prospekt teki). — Urodził się 13-go listopada 1864 r. — Siedemdziesiąt trzy lata przeżył życiem bezrolnego chłopca; w nędzy ciągłej, w głodzie i chłodzie; w wyjazdach (zanim się postarzał) na Saksy, na košby do Węgier, do najcięższych robót górniczych; przez jakiś czas był pomocnikiem grabarza oraz robotnikiem ceglanym. Pierwszy okres rzemiosła rzeźbiarskiego kończy Wowro około roku 1895-go, w trzydziestym roku życia. Nie opłacało się; nikt tego nie potrzebował, nikt nie kupował. Czasem w zimie wyrzeźbił Frasobliwego — ohońną fundację dla przydrożnej topoli lub lipy. Drugi okres rozpoczął się wiosną 1923 r.; — trwał aż do zgonu. — Lata to intensywnej pracy rzeźbiarskiej; i życie na tę smętną starość zaczęło mu się jakoś znośniej układać. Popyt na świątki był duży; moda; kapnęło trochę grosza do malowanej skrzyni. Pracował do ostatnich prawie dni życia. Śmierć wytrąciła mu ze zgrabiały i umęczonych palcy nieforemny »gnyp«. Pozostały po nim świątki rozsiane po całej Polsce, Niemczech, Francji i Ameryce — ptaśzki, pieczątki, sława, o którą nie dbał i dobra pamięć u ludzi. Zasluzyl na nią!

E M I L Z E G A D Ł O W I C Z

GORZEŃ GÓRNY, 7 MARZEC 1938 R.